EXPRESS
NIEDZIELNY ILUSTROWANY.

ROK V. | ŁÓDŹ, NIEDZIELA, 3 KWIETNIA 1927 R. | CENA NUMERU 20 GROSZY. | NR. 93

Student otruty indyjską trucizną curarą

w wagonie kolejowym na linji Skierniewice—Warszawa.

Trucizna znajdowała się w papierosach, któremi został poczęstowany przez dwie eleganckie panie.

W związku ze sprawą otrucia studenta Asłanowicza, dowiadujemy się z Warszawy następujących szczegółów:

Na stacji Milanówek w przedziale II klasy, pociągu, idącego w stronę Warszawy, wieczorem jeden z konduktorów zauważył, **iż pasażer, rozebrany do bielizny, leży bez przytomności.** Konduktor niezwłocznie wezwał policjanta i pasażera wyniesiono na stację. Wobec tego, że nie było przy nim żadnych rzeczy i dowodów, a pasażer nie odzyskiwał przytomności, odwieziono go tegoż wieczoru do szpitala sejmikowego w Grodzisku. Pasażer, **młody człowiek, odzyskał przytomność w dniu wczorajszym, a więc po 2 tygodniach i opowiedział co następuje:**

Jestem mieszkańcem wsi **Grabowa gminy Kamionna Strumiłowa z Małopolski.** Jechałem do Warszawy w interesach handlowych i aby wypocząć, kupiłem bilet drugiej klasy. W drodze za **Skierniewicami do pustego przedziału, w którym siedziałem tylko ja, weszły jakieś dwie eleganckie damy i po chwili,** rozpoczynając rozmowę, poczęstowały mnie jakiemiś — jak same powiedziały — **wyśmienitemi zagranicznemi papierosami, które miały dziwny jakiś smak.**

Po wypaleniu papierosa poczułem, że tracę przytomnośc, że w głowie mi się mąci i po chwili zasnąłem. Co dalej się stało nie wiem i obudziłem się, jak panowie sami wiecie, dopiero dzisiaj...

Miałem przy sobie przeszło trzy tysiące złotych gotówką i rozmaite dokumenty. Nazywam się Henryk Asłanowicz, mam lat 26, z zawodu jestem leśnikiem. Nie wątpię, że ubranie, pieniądze i walizkę moją skradły kolejowe **złodziejki, które mnie uśpiły.**

W celu wykrycia kolejowych złodziejek usypiaczek policja wszczęła jak najenergiczniejsze dochodzenie.

Uśpionym studentem - leśnikiem Henrykiem Asłanowiczem, zainteresowali się specjaliści lekarze, którzy jednak nic na razie konkretnego w tej sprawie powiedzieć nie mogą. Są przypuszczenia, że **Asłanowicz został zatruty znaną indyjską trucizną curarą,** która ma tę własność, że **dana w m...roskopijnej rozcieńczonej dawce, powoduje długotrwały sen, a w większej dawce natychmiastową śmierć...**

Asłanowicz, który nie włada z powodu wyczerpania i zatrucia kończynami i ma wygląd trupa, będzie przewieziony do Warszawy do jednej z klinik szpitalnych do dalszej kuracji i zbadania przyczyn zatrucia.

Chciał zamordować znienawidzonego lokatora.

Z Bydgoszczy donoszą:

Izba karna w Bydgoszczy skazała na 5 tygodni więzienia właściciela domu, Władysława Zamojskiego, za namawianie jednego ze swoich znajomych do zamordowania znienawidzonego przez się lokatora, emerytowanego urzednika Anuszkiewicza, którego tą drogą chciał się pozbyć.

Władze sowieckie skonfiskowały powóz króla Poniatowskiego.

Tak twierdzi prasa sowiecka.

Moskwa, 3 kwietnia.

„Krasnaja Gazieta" donosi, że zbiory Ermitażu w Piotrogrodzie powiększyły się o cenny powóz historyczny, który stanowił ongiś własność króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Powóz ten skonfiskowały władze sowieckie u osoby prywatnej która usiłowała rzekomo wywieźć go zagranicę w celu umieszczenia w jednym z muzeów polskich.

Wesoły tryb życia manicurzystek

które miast pracowni kosmetycznej założyły dom schadzek.

Warszawa, 3 kwietnia

W spokojnej i szacownej kamienicy firmy „Bronikowski, Wasilewski i Grodzki" (Al. Jerozolimskie 27) poczęły się dziać dziwne historje od czasu do czasu, gdy jeden z lokali w oficynie wynajęto dwu nadobnym „manicurzystkom".

Mieszkaine, wynajęte przez administratora domu p. Ignacego Porębińskieg, wedle umowy z lokatorką główną Józefą B.eniasówną, było przeznaczone na pracownię kosmetyczną.

Dziwna to jednak była parcownia! krzyki, wrzaski, hałasy, wędrówki podejrzanych typków i podejrzliwie zerkających na wszystkie strony parek świadczyły wymownie o istotnem przeznaczeniu tajemniczego i nic wspólnego z kosmetyką nie mającego lokalu.

Właściciele domu wystąpili do sądu pokoju 13-go okręgu z powództwem o eksm się Bieniasiówny i jej sublokatorki Marji Jasiukówny.

Powództwo opierało się na zmianie przeznaczenia lokalu, wynajętego na pracownię kosmetyczną, a przekształconego poprostu na dom schadzek.

Liczni przesłuchani wczoraj przez sąd świadkowie, przytoczyli szereg faktów, ilustrujących dość jaskrawo słuszność powództwa.

Pozwane upierały się początkowo przy swej działalności kosmetycznej, nastepnie jednak Jasiukówna wystąpiła z niespodziewaną rewelacją.

— O zmianie przeznaczenia lokalu nie może być tu mowy — dowodziła — gdyż administrator domu p. Porębiński doskonale wiedział, na jaki cel mieszkanie nam wynajmuje i pobierał od nas 500 zł. miesięcznie, choć wydawał kwity za normalne komorne. Niezależnie od tego p. Porębiński pobrał od nas przy wprowadzaniu się 1,000 zł.

Skutkiem owego incydentu była decyzja sędziego Zadrowskiego, który postanowił odpis zeznania Jasiukówny przesłać sądowi do spraw lichwy celem pociągnięcia administratora do odpowiedzialności karnej.

Poza tem powództwo zasądzono. Bieniasiówna — jak brzmi wyrok, „wraz z osobami jej prawa reprezentującemi" ma opuścić zajmowany lokal od dnia 1 czerwca b. r.

Burza w sejmie litewskim.

Przeciw terorowi i sądom polowym.

Kowno, 3 kwietnia.

Na wczorajszem posiedzeniu sejmu litewskiego rząd wycofał ustawę o podwyższeniu ceł na import zagraniczny w wysokości 300 procent.

Następnie, podczas obrad nad sprawą sądów polowych i ich wyrokami, doszło do burzy. Wszystkie partje opozycyjne oraz lewica i mniejszości, na znak protestu przeciwko sądownictwu polowemu i przeciwko dalszemu istnieniu stanu wojennego, opuściły salę posiedzeń. Mówcy opozycji jeszcze przed opuszczeniem sali posiedzeń stwierdzili, że z kół ludowców i socjalistów aresztowano w ostatnich dniach 50 osób, z tego dwóch posłów socjalistycznych stanęło przed sądem wojennym.

Posłowie opozycji po opuszczeniu sali posiedzeń udali się na galerję, przeznaczoną dla publiczności, gdzie oświadczyli znajdującej się tam publiczności, że w sejmie nie mieli możności protestować przeciwko zarządzeniom rządu, ponieważ rząd każdego krytykującego krok rządu poleca aresztować i stawia opozycjonistę przed sąd polowy.

Posłowie koalicji rządowej po opuszczeniu przez opozycję sali posiedzeń, obradowali jeszcze przez chwilę, poczem odroczono posiedzenie do dnia 8 kwietnia r. b.

W pościgu za zrabowanemi pieniędzmi żandarmerja czeska stoczyła krwawy bój z bandytami.

Praga, 3 kwietnia.

Bandyci, którzy zrabowali urząd pocztowy ... u Sillein, dotarli aż do granicy morawskiej, gdzie dogoniła ich żandarmerja.

Rozpoczęła się regularna potyczka pomiędzy bandytami a żandarmami, przyczem jeden z wachm... żandarmerji został zastrzelony. Mimo to bandytów dalej ścigano. Jednakże zdołali oni ujść i ukryli się w lasach na pograniczu Słowaczyzny. Jeden z rabusiów zemdlał ze zmęczenia i schwytany został przez leśników. Znaleziono przy nim część zrabowanych pieniędzy. Drugi, doganiany przez żandarmerję na rowerach, wyjął białą chustkę, gdy jednak żandarmi do niego się zbliżyli, wystrzałem z rewolweru pozbawił się życia. Znaleziono przy nim kilkanaście tysięcy koron czeskich i kilka zegarków.

Nagła gwałtowna epidemja tyfusu plamistego.

Nowy Sacz, 3 kwietnia.

Miasteczko Piwniczna nawiedzone zostało wielką epidemją tyfusu plamistego. Dotychczas zanotowano 80 wypadków zasłabnięć. Tyfus przerzuca się również i na inne miejscowości pobliskie.

W związku z tem zamknięto kościół, bożnicę, urzędy, odwołano targi i jarmarki oraz zamknięto wszystkie drogi, prowadzące do miasteczka. Policja ustawiona u granic miasta nie wpuszcza nikogo do miasteczka. Pomimo to jednak tyfus szerzy się z wielką szybkością. Starostwo nowosądeckie odniosło się do władz centralnych o natychmiastową pomoc, aby stawić czoło rozszerzającej się groźbie epidemji.

Szwagier prezydenta Albanji szykuje rewolucję przeciw Włochom.

Londyn, 3 kwietnia.

Dzienniki otrzymały tu wiadomość z Aten, według których sytuacja w Albanji staje się coraz bardziej krytyczną. Achmetowi Zogu zagraża jego rodzony szwagier Tseno - Bey, który przygotowuje rewolucję, skierowaną przeciwko panowaniu włoskiemu.

Pożar zniszczył miasteczko.

Kilkanaście osób zginęło.

Budapeszt, 3 kwietnia.

W miasteczku Korosmowo na Rusi Przykarpackiej wybuchł pożar, który podsycany gwałtowną wichurą, rozszerzył się z niesłychaną szybkością. Całe miasteczko, niedawno odbudowane po pożarach wojennych spłonęło. 120 domów spaliło się aż do fundamentów. Z nych pozostały tylko mury.

W płomieniach zginęło kilkanaście osób.

Lata więzienia *dla generałów hiszpańskich*

za spisek z przed dwu lat.

Madryt, 2 kwietnia.

W procesie o spisek, wykryty w czerwcu 1925 roku prokurator zażądał kary 8 lat więzienia dla generałów Aguilera i Batet, dwu pułkowników, jednego kapitana i jednego porucznika, a po 5 lat więzienia dla generała Weylera, jednego majora i jednego porucznika — dla wszystkich zaś usunięcia z wojska.

Dzielne zakonnice z Szanghaju

uratowały od niechybnej śmierci dzieci, oddane ich pieczy.

Pochód wśród pękających granatów i bomb.

—:—

W Szanghaju, jak donoszą telegramy, panuje znowu spokój. Kto wie jednak, jak długo potrwa ten stan rzekomego spokoju. Mocarstwa bynajmniej nie ufają zbytnio temu uspokojeniu i wysyłają coraz to nowe okręty wojenne na chińskie wody.

Wprawdzie generalny strejk został zakończony, komunikacja kolejowa pomiędzy Szanghajem i Nankinem została znowu podjętą, ale jednak pod powierzchnia wre tam ciągle i lada chwila mogą wytrysnąć nowe płomienie zaburzeń.

Przez długi jeszcze czas uzbrojone od stóp do głów obce wojska będą musiały czuwać w Szanghaju nad bezpieczeństwem życia i mienia europejczyków i japończyków.

Wiele jeszcze czasu upłynie, zanim Szanghaj stanie się znowu miastem światowem, w którem wprawdzie się wiele pracuje, ale również wiele się bawi. Po słynnym wzdłuż rzeki położonym bulwarze o dwóch prawie kilometrach długości, gdzie znajdują się wielkie gmachy biurowe i sześć nowożytnych hoteli, w których dawniej już od południa tańczono — nie widać obecnie luksusowych automobilów, ani elegancko ubranych pań.

Nie słychać również nic o wyścigach, które się w tem mieście stale odbywały. Zapanował wprawdzie spokój, ale niepewność wisi jeszcze ciągle w powietrzu, odbierając ochotę do swobodnej zabawy.

— Ciężkie to były dnie, kiedy kantończycy wkraczali do miasta po wyparciu swych przeciwników. Rabunki i pożary były na porządku dziennym, strzelano we dnie i w nocy.

Obecnie przeszło 3.000 rodzin pozostaje bez dachu. Szczególnie pełną grozy była noc ubiegłego tygodnia z poniedziałku na wtorek. Ciężkim był również dzień po tej nocy następujący. Niewesoło przedstawiała się sytuacja francuskich zakonnic i ich pupilów w przytułku dla sierot w północnej części chińskiej dzielnicy Czapei. Zakonnice miały pod swoją opieką 150 dziewcząt chińskich i 130 dzieci.

W poniedziałek popołudniu granaty zaczęły bić w dach bocznego skrzydła, mieszczącego szkołę dla dziewcząt. Siostry zaprowadziły dzieci do głównego budynku, gdzie cała gromadka, klęcząc i modląc się przepędziła noc. Małe dzieci — wśród nich cały szereg maleństw, liczących dopiero rok życia — spały, starsi z przerażeniem obserwowali straszne widowisko, jakie przedstawiało płonące miasto.

Jęki rannych i konających, huk pękających granatów i świst kul karabinowych przejmowały grozą.

Trzy granaty wpadły do klasztornej kaplicy, w której zakonnice się modliły. Pociski nie eksplodowały jednakowoż. Oderwane kawałki muru zwaliły się na modlące się zakonnice, ale jakby cudem, żadna z nich nie uległa nawet skaleczeniu.

Następnego dnia sytuacja ukształtowała się jeszcze groźniej, ponieważ poszczególne części zakładu zapaliły się. Wówczas pewna młoda zakonnica odważyła się na śmiały czyn. Zebrała dwanaścioro najmniejszych dzieci. Dzieci te ona sama i jej dobrowolni pomocnicy nieśli na rękach, inne, starsze trochę dzieci, które zaledwie chodzić umiały, trzymając się kurczowo odzieży swoich opiekunek, towarzyszyły im na ulicę.

Gdy siostra pojawiła się ze swoją grupą dzieci na ulicy, przyjęła je salwa karabinowa. Nie trwożąc się jednak, kroczyła odważnie dalej. Pomimo ustawicznej strzelaniny, nikt z tej gromadki nie odniósł rany, za wyjątkiem pewnej starej służącej chinki, którą dosięgła kula zaraz tuż poza obrębem gmachu.

Ta grupa, złożona z zakonnic i dzieci, przeciągnęła, modląc się, przez puste, granatami niszczone ulice, aż wreszcie osiągnięto cel drogi, to znaczy granicę obozu cudzoziemców. Tymczasem pożar coraz bardziej szerzył się w zakładzie, zagrażając tym zakonnicom, które w instytucie pozostały. Na szczęście nagle zmienił się kierunek wiatru i płomienie zaczęły zamierać.

Wtem nadchodzi nowa wieść hiobowa, że żołnierze postanowili ostrzeliwać przytułek dla sierot i zrównać go z ziemią.

Zdawało się, że już niema żadnego ratunku, gdy nagle przed furtą zakładu pojawił się francuski ksiądz, nazwiskiem Jacquinot, człowiek olbrzymiej postaci i siły, który, utorowawszy sobie przemocą drogę przez tłum wrzeszczących chińczyków, zjawił się, aby ratować dzieci. Pod jego kierownictwem cała gromadka dostała się do dzielnicy cudzoziemców, nie tracąc nikogo, pomimo, że chińczycy strzelali jak szaleni.

Pomimo tak strasznych przeżyć, dzielne zakonnice gotowe są powrócić do swej dawnej siedziby i na nowo objąć kierownictwo domu dla sierot.

Obawa przed ogonem komety.

Pomiędzy 27 a 30 czerwca kometa Pons Winnecke zbliży się znacznie do ziemi.

Nic się jednak złego globowi nie stanie.

W miarę jak nadchodzi chwila tegorocznego zbliżenia ziemi z kometą Pons-Winnecke, wzrasta w prasie zagranicznej zainteresowanie naukowe tem zdarzeniem astronomicznem.

Chwila owa ma się zaznaczyć szczególnie świetnym deszczem meteorów, czyli t. zw. popularnie gwiazd spadających, który będzie można obserwować nocami

od 27-go do 30-go czerwca

przy położeniu radjantu roju meteorowego oznaczonem cyframi 228 i plus 58.

Ta mądrość w tej sprawie, choć cokolwiek mało zrozumiała, jest dosłownie tania, czerpiemy ją bowiem z kalendarza astronomicznego, który sprzedaje się po księgarniach w śmiesznej na dzisiejsze czasy cenie 2 zł. za egzemplarz.

Jednak przy tej sposobności trzeba przypomnieć rzeczy, których kalendarz astronomiczny nie podaje, dlatego, że są zbyt znane dla fachowców i dlatego, że gdyby tak objaśniano każde z jakiegoś tysiąca zjawisk atsronomicznych, zanotowanych w tym kalendarzu, to on urósłby do rozmiarów wielotomowego dzieła.

Szczególna świetlność meteorów czerwonych jest spodziewana z tego powodu, że tego roku ziemia przejdzie koło komety Pons-Winnecke w odległości

zaledwie 5 miljonów kilometrów.

Nie jest to więc ani spotkanie z kometą samą, ani z jej ogonem, choć i takie spotkania nie groziłyby istnieniu ziemi.

Pomimo to przed wojną, kiedy było zapowiedziane, że **ziemia przejdzie przez ogon komety Helleya, wiele ludzi obawiało się końca świata, a jeszcze więcej udawało, że się boi, aby na rachunek tego strachu zabawić się dobrze.**

Nie pomogły objaśnienia, że ogon komety jest czemś tak rzadkiem, iż powietrze jest wobec niego czemś nieporównanie twardszem, niż najtwardsza stal względem powietrza.

Ludzie koniecznie chcieli przepędzić jedną noc na strachu i potem z radością obserwowali kometę z rozerwanym na dwoje ogonem, twierdząc, że to oni wraz z ziemią narobili jej tej szkody.

Rzadkość ogona komety jest zrozumiała dlatego, że jest to niejako jej para w próżni pod wpływem promieni słonecznych i wskutek tego, podczas zbliżania się komety do słońca, ogon leci przed nią, przy okrążaniu słońca znajduje się z boku, od strony słonecznej, a dopiero przy odlocie wlecze się za nią.

Ale i spotkanie z samą głową komety skończyłoby się dla ziemi tylko deszczem meteorów. Skoro bowiem przez głowy komet widać gwiazdy, to znaczy, że one, przynajmniej przeważnie, nie stanowią pełnej kuli, ale rój skupionych brył materjalnych różnej wielkości i nieposiadających własnego światła.

A meteory nie są niczem innem. Dopiero kiedy wpadną w atmosferę ziemi, wskutek szalonej szybkości i tarcia o nią,

zapalają się i uzyskują taką temperaturę że jeżeli spadną na ziemię, a mają w sobie żelazo,

to ono krystalizuje się, w którym to stanie w innej drodze żelaza nie można uzyskać.

Nie wszystkie jednak meteory spadają. Jedne spalają się zupełnie i rozpraszają jako gaz, inne jedną stroną wpadają w atmosferę, a drugą wylatują i gasną, część tylko dolatuje do ziemi w postaci resztek nie spalonych. Swoją drogą mogą to być resztki stosunkowo duże, a w Ameryce istnieje pewien pagol, powstały podobno ze spadłego meteoru, który

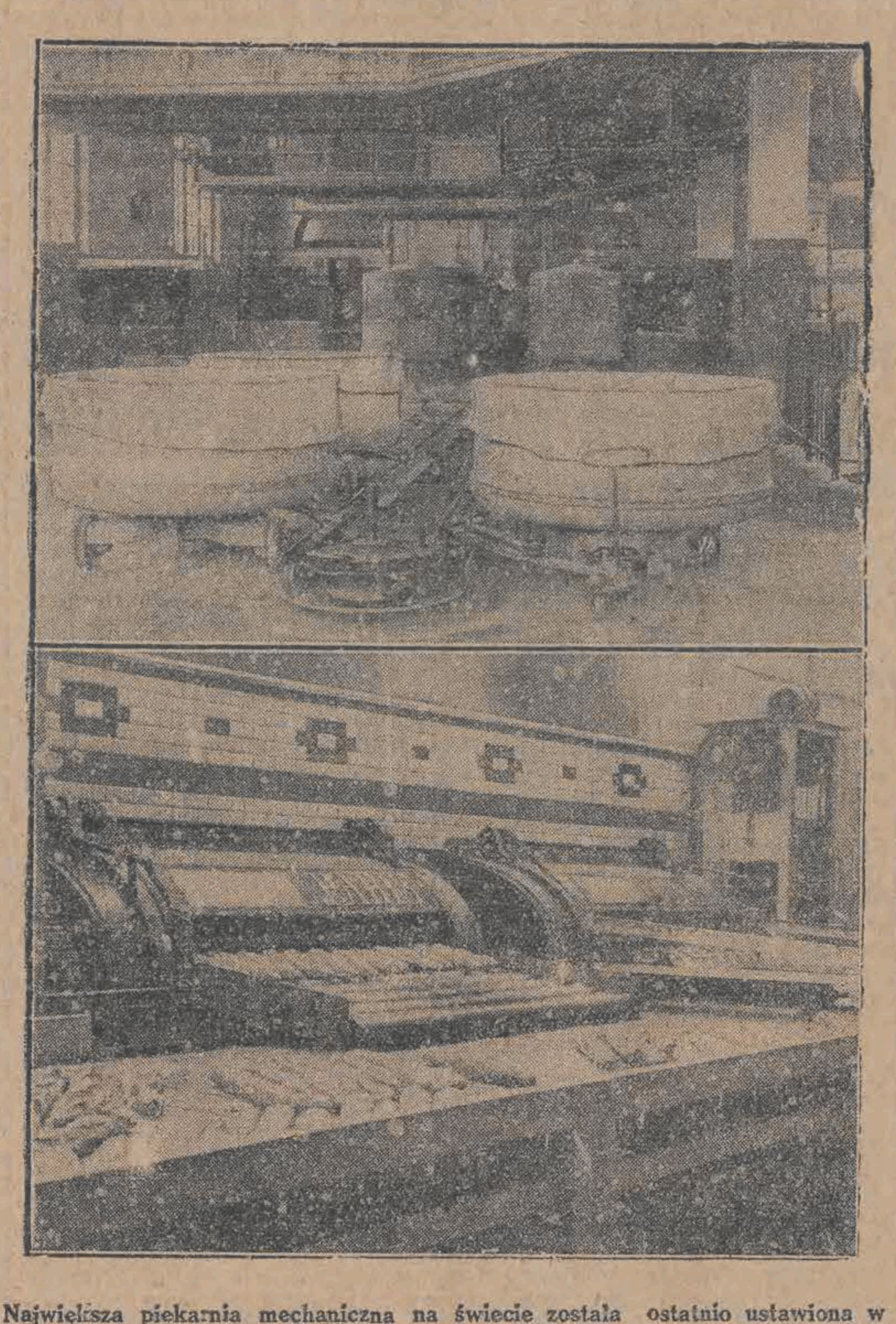
zawierał w sobie tyle platyny ,że teraz możnaby tam założyć bardzo wydatne jej kopalnie.

Jednakże dokoła komety, w znacznej odległości od głowy, lecą włóczęgi, rozproszone jej części, tak że nie potrzeba aż spotkania z głową, na deszcz meteorów i wystarcza znaczne zbliżenie, a to zbliżenie tego roku będzie istotnie rzadkie.

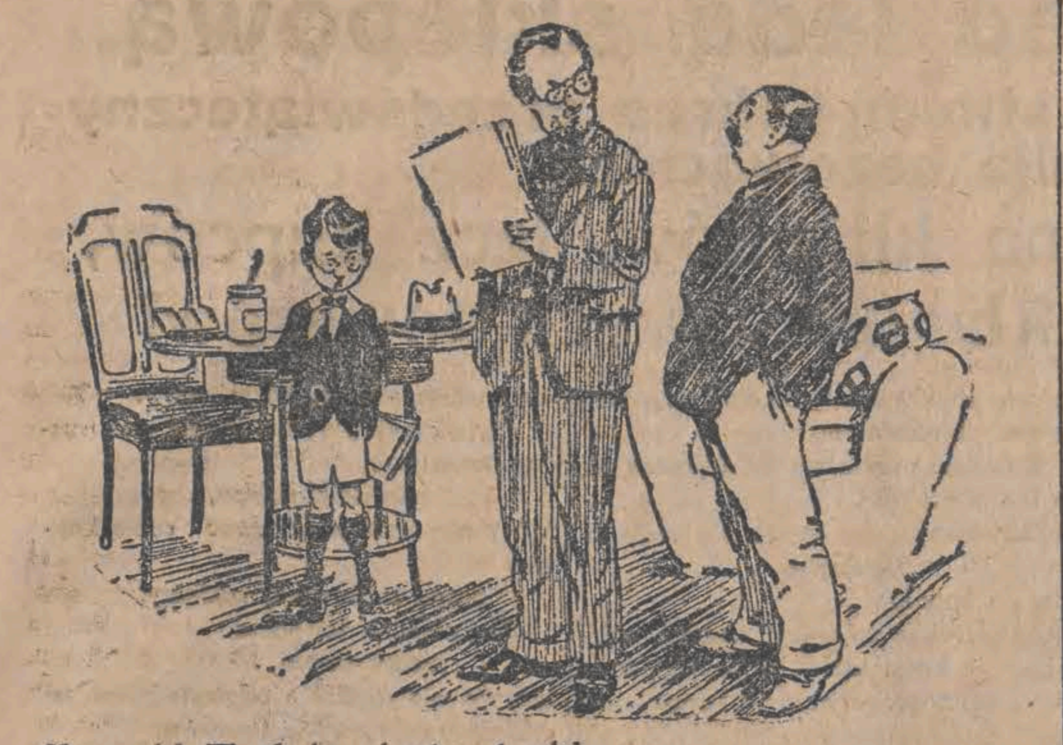
Większe jeszcze miało być w roku 1921, kiedy droga komety Pons-Winnecke i ziemi miały się przeciąć na dwie godziny jedna po drugiej. Ale oczekiwania te zawiodły, gdyż po drodze Jowisz tak odciągnął na bok kometę Pons-Winnecke, że przeszła od ziemi w odległości około 20 miljonów kilometrów.

Pomimo to deszcz meteorów wtedy był ładny, choć ani w porównanie nie wchodził z podobnemi zjawiskami z roku 1833 i 1866, kiedy w ciągu jednej godziny widziano kilka tysięcy gwiazd spadających, które wychodząc z tego samego punktu na niebie, tworzyły jakby promieniste sprychy niebieskiego koła.

Czy tego roku Jowisz, albo inna planeta, nie wypłata takiego figla komecie Pons-Winnecke, jak przed sześciu laty i czy widowisko będzie równie wspaniałe, jak lat temu 94 i 61, zobaczymy za trzy miesiące.



Największa piekarnia mechaniczna na świecie została ostatnio ustawiona w Paryżu. Produkuje ona dziennie 10,000 bochenków chleba dziennie.



Nauczyciel: Wymienisz mi cztery żywioły
Jaś: Ogień, powietrze, woda i wódka
Naucz.: Wódka? Dlaczego wódka?
Jaś: Bo ojciec mój powtarza zawsze: gdy mam wódkę, to jestem w swoim żywiole!...

Najście lwów na mieszkanie.

Patefon i charleston--przyczyną konfliktu małżeńskiego

„Demon" w ciele 32-letniej niewiasty.

Łódź, 3 kwietnia.

Gdy się pobrali — a było to przed trzema laty —

on miał lat 44 a ona 32...

Prócz wieku różniły ic hjeszcze poglądy na świat i życie.

Pan G. był człowiekiem poważnym, ciągle zajętym interesami, nie przywiązującym wielkiej wagi do modnych rozrywek, a ona „jak to żona — nadęta, napuszona" nie chciała jeszcze zrezygnować z życia i użycia.

Przed ślubem

różnica temperamentów

nie uwydatniała się tak jaskrawie.

On był bezdzietnym wdowcem, ona — starą panną...

Mąż przypuszczał, że znajdzie wierną towarzyszkę życia, która zajmie się jego gospodarstwem, przyjmie na siebie ciężkie obowiązki gospodyni i przejmie się całkowicie rolą przykładnej, wzorowej żony — ale, niestety,

srodze się omylił.

Pani Adela po wyjściu za mąż doszła do wniosku, że na tem kończy się już jej powinność w stosunku do męża i zaczęła myśleć tylko o sobie, rozpoczynając

„charlesto - nowe" życie.

Pan G. wyjechał w sprawach handlowych na kilka tygodni do Lipska.

Gdy wrócił —

nie poznał swego mieszkania.

Na stoliku, gdzie dawniej stał spokojny porcelanowy słoń, wrzeszczał w niebogłosy

ochrypły patefon,

stół i krzesła przeniesiono do kurytarza, dywan leżał w kącie, a porysowana posadzka wskazywała na to, że salon pana G. w czasie jego nieobecności zamienił się w świątynię Terpsychory.

— Na jaką intencję odbywał się bal w naszym domu? — zapytał zdziwiony p. J.

— Bal?... — odparła niemniej zdziwiona pani Adela. — To nie był bal... zwykłe

przyjęcie gości...

Tańczyliśmy troszkę... Zresztą, zobaczysz dzisiaj, jak to wygląda...

Pani Adela nie żartowała.

Pan G. rzeczywiście tego samego wieczoru przekonał się osobiście, jak to wygląda...

i pociemniało mu w oczach.

Już o siódmej zaczęły się zbierać w jego mieszkaniu jakieś podejrzane typy, t. zw. „lwy salonowe" i damy z półświatka,

patefon ryczał,

co bardziej jeszcze rozjuszyło salonowe zwierzęta, które zaczęły wywijać jakieś

nieprzyzwoite koziołki,

wywołując zgorszenie pana G., przyglądającego się spokojnie wybrykom żony.

A gdy goście odeszli, zapraszając się na dzień jutrzejszy o tej samej porze, pan G. postawił kategoryczne ultimatum:

— Ja albo lwy! oczywiście — „lwy salonowe").

A pani Adela nie zastanawiała się długo i odparła:

— No, wiesz... Nie znam współczesnego życia... Nie idziesz za postępem czasu... Teraz wszędzie ludzie bawią się w prywatnych domach...

Ale pan G. był innego zdania i widząc, że z żoną nie dojdzie do porozumienia, wszczął

kroki rozwodowe

z powodu... patefonu.

Zabójstwo studenta--łodzianina podczas zabawy w Jacka Texasa i bawoły.

Mimowolny zabójca uległ poważnej chorobie nerwowej

Łódź, 3 kwietnia.

W połowie listopada ubiegłego roku zmarł w Poznaniu wskutek rany postrzałowej student uniwersytetu poznańskiego,

łodzianin, Ryszard Orzechowski,

zamieszkały w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 50.

Okoliczności tego

tragicznego zajścia

były następujące.

Dnia 11 listopada ub. roku Ryszard Orzechowski wyprawiał w swem mieszkaniu

studencki wieczorek

z okazji swych imienin, na który zaprosił swych kolegów: Antoniego Tyszewskiego, brata jego Stanisława, oraz swego brata Aleksandra Orzechowskiego.

Szczupłe grono studentów bawiło się ochoczo.

Podczas zabawy jeden z studentów zaczął się popisywać

wzorem amerykańskich cowboy'ów

zręcznością w rzucaniu lassa.

Nowy pomysł zabawy przypadł do gustu wszystkim obecnym.

Zaczęto się nawzajem prześcigać w umiejętności rzucania lassa i rozmowa przeszła na temat amerykańskich sportów.

Ktoś wspomniał o zręcznym i silnym Siting Bullu, inny zaczął opowiadać nieprawdopodobne historje o Jacku Texasie, o tem, jak on

walczył z bawołami,

kładąc je trupem na miejscu jednym celnym wystrzałem.

Rozpoczęło się

dzikie polowanie na bawołów,

przyczem Antoni Tyszewski grał rolę Jacka Texasa i dla obrony przed urojonymi napastnikami

wyciągnął z szuflady rewolwer,

przekonawszy się przedtem, czy magazyn został wyjęty.

W kulminacyjnym momencie szalonej zabawy, gdy „bawoły" napadły na Jacka Texasa, ktoś krzyknął w ogólnym rumorze:

— Bo cię zastrzelę — a potem dodał, śmiejąc się: — **Nie dam się!**

I w tej chwili

padł strzał

Ryszard Orzechowski raniony śmiertelnie rewolwerową kulą,

osunął się bezwładnie na ziemię.

Śmiertelny strzał padł

z broni Tyszewskiego.

Głuchą ciszę, jaka nastąpiła po nieoczekiwanym strzale, przerwał

krzyk Tyszewskiego,

który, widząc co się stało,

dostał ataku nerwowego.

Mimowolnego sprawcę nieszczęścia musiano odstawić

do szpitala miejskiego,

gdzie przebywał przez pięć dni.

Ryszarda Orzechowskiego

nie zdołano uratować od śmierci.

Tyszewskiego pociągnięto do odpowiedzialności sądowej i w dniu wczorajszym mimowolny zabójca zasiadł

na ławie oskarżonych.

W śledztwie pierwiastkowem oskarżony zapewniał, że z rewolweru

wyjął magazyn

i że nie może sobie wytłumaczyć, skąd w broni wziął się jeszcze nabój.

Widocznie jedna

kula pozostała jeszcze w lufie.

Na rozprawie świadkowie zeznawali obciążająco dla oskarżonego o tyle, że stwierdzili, iż Tyszewski dość często bawił się niepotrzebnie bronią, że nawet kiedyś w „Wielkopolance"

mierzył z żartów do kolegów.

To też prokurator, dr. Kucharek domagał się surowej kary dla oskarżonego.

Kara ta winna być dla młodzieży akademickiej, wśród której

wielu studentów nosi broń palną niewiadomo po co,

odstraszającą nauką, że rewolwer może być wszystkiem, lecz nie

przedmiotem zabawy

— mówił słusznie oskarżyciel publiczny.

Trybunał pod przewodnictwem sędziego Bojarskiego

skazał oskarżonego na 3 miesiące więzienia,

uchwalając jednocześnie warunkowe

zawieszenie kary

na przeciąg dwu lat.

O ile w tym czasie oskarżony nie znajdzie się pod żadnym względem w kolizji z kodeksem karnym, kara będzie mu darowana całkowicie. — ab

Znaleziona ampułka po morfinie.

Przez dziurkę od klucza mąż ujrzał wstrząsającą scenę w sypialni.

Zdradziecka przyjaźń farmaceutki.

Warszawa, 3 kwietnia.

W rodzinie urzędnika p. Marjana Czarmaka (Czerniakowska 210) rozegrał się cichy, lecz niezwykle wstrząsający dramat.

Przed paroma tygodniami p. Czermak zauważył, że jego młoda żona Aleksandra stała się dziwnie nerwowa i rozdrażniona. Stan chorej pogarszał się z dnia na dzień. Nalegania, by zasięgnęła porady lekarskiej, nie odnosiły skutku.

Zaniepokojony mąż zaczął zwracać baczną uwagę na wszystko, co dzieje się w domu. Zauważył, że od czasu do czasu żonę odwiedza przyjaciółka, Sabina Pławska, farmaceutka z zawodu. Zazwyczaj niewiasty szukały samotności.

Stwierdzenie tych szczegółów miało nieoczekiwane następstwa. P. Czarmak wrócił pewnego wieczoru do domu, wszedł cicho, na palcach, zbliżył się do dziurki od klucza i zajrzał do sypialni żony.

Pani Aleksandra leżała w negliżu na łóżku. Z lewej nogi miała zsuniętą pończochę. Stojąca obok Sabina Pławska przygotowywała się do zrobienia przyjaciółce zastrzyku.

Obserwujący mąż widział, jak igła przebija skórę, zauważył, że pusta ampułka została wrzucona do pieca. Na to tylko czekał.

Bez szelestu opuścił mieszkanie, a gdy po pewnym czasie powrócił z miasta, znalazł ampułkę z nienaruszoną etykietą:

„Morphini muriatici 0,02".

— Co ona ci zastrzykuje? — zagadnął żonę.

— Arszenik — odpowiedziała, blednąc.

— Nie wierzę.

Pani Aleksandra spędziła noc poza domem. Nazajutrz, podczas nieobecności męża, zjawiła się na chwilę, by zabrać drobiazgi toaletowe i znikła.

Zrozpaczony urzędnik, po kilkudniowych poszukiwaniach, — spotkał ją wczoraj w Alei 3-go Maja. Była głodna, zziębnięta, wynędzniała.

— Wrócisz do mnie?

— Wrócę.

Podał jej ramię.

W wyniku skargi, wniesionej przez p. Czarmaka, nad Sabiną Pławską rozciągnięto dozór policyjny.

Złodzieje nie znają wypoczynku.

Łódź, 3 kwietnia.

Rusakowi Józefowi, zam. przy ulicy Lipowej nr. 9 skradziono z wozu 9 butelek spirytusu, wartości 70 złotych.

Plackowi Franciszkowi, zam. przy ulicy Pomorskiej nr. 78 skradziono ze strychu bieliznę, wartości 300 złotych.

Radziejewskiemu Danielowi, zam. przy ulicy Zawadzkiej nr. 20 skradziono 36 tuzinów rękawiczek, wartości 1000 złotych.

Djamentowi Majerowi, zam. w Sieradzu, skradziono z wozu 8 sztuk towaru, wartości którego narazie podać nie mógł.



— Jasiu, czy słyszałeś coś o Robinsonie?...

— O, tak!... To człowiek, który sam jeden zaludniał wyspę!...



Pele-mele.

Pewien władca w przystępie dobrego humoru rozkazał usiąść do stołu biesiadnego swemu trefnisiowi.

Błazen, siedząc naprzeciw kanclerza, obrał go za przedmiot swego ostrego języka.

Wyprowadzony z równowagi kanclerz, zapytał gniewnie błazna:

— Czy wiesz, co dzieli mądrego od głupiego?

— Stół, panie kanclerzu!... — odrzekł błazen.

***

Pani K., osoba 50-letnia, jedzie ze swą 18-letnią córką Pepcią do Karlsbadu.

Na granicy urzędnicy celni przeprowadzają skwapliwie rewizję i w nadmiarze gorliwości rewidują piękną pannę Pepcię może nawet za bardzo dokładnie, gdyż panna Pepcia płonie zawstydzona niby róża.

Nie znalazłszy nic podejrzanego i syci widzianych wdzięków przystojnej 18-latki odchodzą.

Wtedy stara pani K. krzyknęła jak zraniona tygrysica:

— No, a co do mnie to panowie nie są wcale ciekawi?...

***

Do dyrektora podrzędniejszego teatrzyku podchodzi w dzień premjery aktor i prosi o dwa złote zaliczki.

— Zwarjował pan? — pyta dyrektor. — Naco panu taka suma?!.. Dam panu po przedstawieniu...

— Nie może być! — mówi aktor. — Muszę mieć dwa złote przed przedstawieniem...

— Dlaczego właśnie przed przedstawieniem?

— Bo widzi dyrektor... gram rolę miljonera amerykańskiego i chcę się w tej chwili czuć dobrze — co mi się zawsze udaje, ilekroć mam przy sobie większą gotówkę...

Międzynarodowa banda wampirów.

Policja londyńska wpadła na trop międzynarodowej bandy hyjen, którzy w całej Europie okradali grobowce, zabierając z nich wszelkie przedmioty przedstawiające jakąkolwiek wartość.

W . urze bandy prowadzono po kupiecku księgi, które wykazały, że dochody wampirów były olbrzymie.

W przystępie szaleństwa.

We wsi Pinguet, koło miasta Agen, we Francji, 30-letnia wieśniaczka Cazagrande, wlała w przystępie szaleństwa, swemu dziecku lejkiem kwasu siarczanego w usta, zaś sama powiesiła się; kiedy zaś sznur się przerwał, rzuciła się w głęboką studnię. Dziecko zmarło w męczarniach, matka, przewieziona do szpitala z połamanemi nogami zmarła również.

Łódź przed ladą sklepową.

Sklepy świecą pustkami—okres przedświąteczny mija bezowocnie.

Nie jest to winą klijentów, lecz kupców, którzy nie reklamują swych towarów!

Łódź, 2 kwietnia.

Mówiąc gwarą gospodyń, kucharek i służących —

„święta są już za pasem"...

Za dwa tygodnie miasto nasze oblóczy się w

szałę świąteczną,

na ulicach zapanuje

odświętny nastrój

i nastąpi dwudniowa

przerwa w pracy.

Ale, niestety, radość świąteczną poprzedza zazwyczaj kilkutygodniowy trud starania się

o gotówkę,

bo przecież trzeba coś kupić i urządzić jakoś święta.

Narazie jednak wystawy sklepów

napróżno

wabią przechodniów, którzy zatrzymują się przed niemi jedynie po to, by przyjrzeć się zbliska smakołykom i nagromadzonym przedmiotom.

Wszędzie uwydatnia się wyraźne piętno braku gotówki.

Zdawałoby się, że nic nie zdoła

zachęcić

ludzi do kupna.

Ani kartki ze zniżonemi cenami, opiewające ile kosztowało „dawniej", a ile „dziś", ani dogodne warunki kupna — na raty i długoterminowe weksle, — ani szumne zapowiedzi, głoszące, że tylko

ostatnie dni

jest tak tanio.

Wszystkie sklepy

świecą pustkami,

wprawiając właścicieli w pesymistyczny nastrój.

A trzeba przyznać, że stagnacja przedświąteczna

nie jest wyłączną winą klijentów,

wstrzymujących się od zakupów.

Lwią część winy za obecny stan rzeczy ponosi sam

właściciel sklepu,

który nie umie zwerbować sobie kupców

drogą racjonalnej reklamy.

Zagranicą o tej porze

niema kupca

któryby nie myślał o odpowiedniem zareklamowaniu swych towarów.

Tam nie tylko o tem myślą, ale zamiary swe

w czyn wprowadzają.

I dlatego nie narzekają, bo każdy grosz, przeznaczony na cele reklamowe przynosi im

stokrotne zyski.

A u nas?...

Co się robi w kierunku zareklamowania towaru w okresie przedświątecznym?

Leteralnie nic!

Każdy czeka na to, ażeby klijent

sam przyszedł

do jego sklepu.

Ale ci panowie zapominają a tem, że tej dawnej publiczności, która sama do sklepów przychodziła,

dziś już niema!

Dziś trzeba ściągać klijentelę, zmuszać ją do kupna,

zachęcić

dostępną dla każdego reklamą, słowem

trzeba coś robić

w tym kierunku, a nie siedzieć z założonemi rękoma!

A potem dziwią się, że wszędzie jest stagnacja, że

ludzie nie kupują,

że najlepsza okazja — okres przedświąteczny — minęła bezowocnie...

Nie klijent jest winien, lecz kupiec!

—Str.—



— A synek pani jakie ma zdolności?
— To się nie da określić
— Dlaczego?
— Bo w każdej szkole trzymają go bardzo krótko.

Dla 400.000 dol.

dał sobie odrąbać nogę.

Sensacyjny proces w Wiedniu.

Przed wiedeńskim trybunałem rozpoczął się niezwykle sensacyjny proces przeciw małżankom Emilowi i Marcie Marek i wspólnikom, oskarżonym o oszustwo dokonane wśród istotnie niezwykłych okoliczności. By uzyskać odszkodowanie 400.00 dolarów Emil Marek dał sobie uciąć dobrowolnie — nogę. Wedle aktu oskarżenia sprawa przedstawia się następująco:

Oskarżony Emil Marek, nie mający stałego fachu, zajmował się wszelkiego rodzaju „interesami" w branży żelaza, drzewa, kupował i sprzedawał domy, a ostatnio planował ogromne przedsiębiorstwo elektryfikacyjne. Finansowane ono miało być przez Tow. Akc. Anglo-Dunabian Lloyd zajmujące się również ubezpieczeniami.

W czasie pertraktacji zaproponowano oskarżonemu Markowi ubezpieczenie na życie. Po kilku dniach zgłosił się do towarzystwa z propozycją ubezpieczenia go na 100.000 dolarów na życie i 400.000 na wypadek niezdolności do pracy, inwalidztwa. Układ zawarto.

Już we dwa dni po dokonaniu umowy zarząd Anglo-Dunabian Lloydu otrzymał od żony Marka depeszę, iż mąż jej ciężko ranny leży w szpitalu w Mödling. Wedle zasięgniętej ze szpitala wiadomości, przyniesiono tam Marka z nogą prawie odrąbaną siekierą, tak, iż trzeba było przeprowadzić natychmiastową amputację.

Ranny tłumaczył się, iż pracował nad sporządzeniem elektrycznej lalki i w czasie rąbania ogromnego kloca drzewnego odskoczyła siekiera i raniło go w lewe udo. Ekspertyza lekarska orzekła jednak, iż noga nosi ślady kilkakrotnego rąbnięcia siekierą i wypadek we formie jak podaje go oskarżony, jest niemożliwy. Strasznej operacji porąbania nogi poddał się Marek dobrowolnie, celem uzyskania ogromnego odszkodowania w sumie 400.000 dolarów.

Obecnie „zasiadł" Marek na ławie oskarżonych — jeśli można użyć tego wyrażenia — wobec faktu, iż wniesiono go na salę sądową na noszach, gdyż po amputacji chodzić nie może. Odpowiada wraz z żoną i wspólnikami, krewnymi, za zbrodnię oszustwa, jakiej dopuścił się, chcąc przez sztuczne samookaleczenie zyskać ze szkodą Tow. ubezpieczające go sumę 400.000 dolarów. Rozprawa sądowa wyjaśni w jaki sposób i kto na nim dokonał tej potwornej operacji okaleczenia.

Chciał sprzedać swoją żonę.

Nabywca rani ciężko sprzedającego.

Niezwykły wypadek wydarzył się niedawno we wsi Vayssianx koło Lyonu. Jeden z największych właścicieli ziemskich, Moise Beney, liczący 60 lat, farmer, strzelił dwukrotnie z rewolweru do Cezara Barzaghi, włocha, handlującego zbożem. Stan zranionego jest poważny.

Jak się z śledztwa okazało, powód tragicznego zajścia był następujący:

Niezwykle leniwy Barzaghi ożenił się przed dwoma laty z młodą maszynistką, Teresą Pucillo. Warunkiem ślubu było to, że panna Pucillo zgodziła się zarabiać 300 franków miesięcznie na życie ich obojga.

Z tego utrzymywał się Barzaghi. Beney, poznawszy panią Teresę Barzaghi, postanowił zwrócić jej wolność. Wiedział, czem wziąć jej męża. Po dłuższej dyskusji Barzaghi zgodził się na separację, jeśli Beney wypłaci mu sumę 20.000 franków. Beney zgodził się. Ale Barzaghi zaczął nalegać, aby mu Beney wypłacił sumę natychmiast.

Beney, który musiał starać się dopiero o pieniądze, nie mógł tego uczynić. W końcu przyszło do kłótni między Barzaghi a Beneyem. Barzaghi chwycił nóż i chciał przebić Beneya, który w obronie własnego życia strzelił dwukrotnie i zranił ciężko sprzedajnego męża.

Właściciel jednej trzeciej psa

...i całej budy

polemizował z rodzonym ojcem na łamach prasy.

Historja prawdziwie amerykańska.

Do jednego z banków nowojorskich przyszedł niedawno jakiś chłopiec i zwrócił się do kasjera z prośbą, aby mu rozbił przyniesioną skarbonkę i przeliczył znajdujące się pieniądze. Urzędnik uczynił zadość prośbie chłopca; pokazało się, że skarbonka zawiera półtrzecia dolara.

— To za mało, odezwał się malec.

— Czy chcesz złożyć swoje pieniądze do banku? — zapytał kasjer.

— Nie, przeciwnie, chcę prosić o pożyczenie mi trzech dolarów.

Kasjer popatrzył na dwunastoletniego klijenta i odparł z powagą:

— O pożyczkach decyduje wyłącznie dyrektor, udaj się do niego.

W chwilę później chopiec zgłosił się do dyrektora, prosząc, aby bank udzielił mu pożyczki trzech dolarowej.

— Spłacę ją w sześciu miesiącach, oświadczył.

Dyrektor rozbawion, miną zupełnie serjo malca, zapytał:

— Na cóż ci te pieniądze?

— To nie żadna tajemnica. Muszę kupić dla mego psa budę, którą widziałem w jednym sklepie, a taka buda kosztuje właśnie pięć dolarów. Ja zaś mam swoich pieniędzy niewiele więcej nad dwa dolary.

— A co napiszesz jako gwarancję pożyczki?

Chłopak zastanowił się przez chwilę i odparł:

— Jeżeli to panu wystarcza, to zagwarantuję moją uczciwością i świadomością tego co robię.

— Niech i tak będzie, ta gwarancja mi wystarcza — odparł dyrektor i wydał kasjerowi rozkaz, aby wypłacił chłopcu trzy dolary. Ten napisał swe nazwisko:

„Otto Szanto z Węgier, ręczy uczciwością, świadomością i charakterem".

Następnego dnia w jednym z dzienników nowojorskich cała historja została opowiedziana, zaś nazajutrz w innym dzienniku ojciec chłopaka umieścił zawiadomienie, że historja jest zmyślona, że jego syn nie ma psa, a gdyby go sprowadził, to pies tej samej chwili zostałby wyrzucony z domu.

Ale dwunastoletni syn nie dał za wygraną i rozpoczął z ojcem istną polemikę na łamach dziennika, który mu udzielił gościnności. Rozbawieni czytelnicy z zaciekawieniem śledzili polemikę ojca z synem. Mały Otto zapowiedział, że przedstawi dowody, iż bynajmniej nie kłamie.

Pewnego dnia ukazał się artykuł, w którym oświadczył:

— Jeżeli chodzi o ścisłość, to jestem właścicielem nie całego psa, ale jednej trzeciej części psa, którego ja i moi dwaj koledzy znaleźliśmy na ulicy. Należy on do nas trzech po równej części. Ponieważ koszt utrzymania go jest wielki, przeto ciągnęliśmy losy, który z nas ma mu kupić obrożę, kto budę, a kto go żywić. Na mnie wypadła buda.

W ten sposób Otto Szanto dowiódł, że mówił prawdę. Kilka wielkich dzienników zamieściło z nim wywiady, podając fotografję psa i jego trzech właścicieli.

Równocześnie zaś z różnych stron zaczęły napływać do banku wkładki na jego konto. Obecnie rachunek małego wykazuje „dobro" na pokaźną sumę i w ten sposób zapewniony ma los i pies i właściciel jego jednej trzeciej części. Dodać wypada, że o ile Otto Szanto jest bardzo ładnym chłopcem, o tyle wszystkie trzy części jego psa są nader brzydkie. Kundel nazywa się Azor, jest istotnie brzydki, ale zato, jak zaręczają wszyscy jego właściciele, niezwykle inteligentny i przywiązany do swych wszystkich panów.

Najzabawniejszem zaś w całej historji jes tto, że mały Otto wezwał ojca, aby w owym dzienniku odwołał uczyniony mu zarzut kłamstwa i stary Szanto, nie chcąc narazić się na proces, musiał, rad nie rad, spełnić życzenie malca.

Zamach na pociąg pod Baranowiczami.

Strzał w okno wagonu sypialnego.

Z Baranowicz donoszą: Wczoraj do pociągu pospiesznego nr. 704, który przejeżdżał bez zatrzymywania się między stacjami Baranowicze — osobowa i Baranowicze — towarowa, jakiś nieznany osobnik strzelił z rewolweru. Kula trafiła w okno międzynarodowego wagonu sypialnego, w którym znajdowało się 2 anglików, jadących z Moskwy przez Warszawę do Londynu. Kula na szczęście nie raniła nikogo.

Zawiadomione o tem władze kolejowe i policyjne wdrożyły niezwłocznie śledztwo, które do dziś rana (godz. 11-ta) nie wykryło nazwisk sprawców. Dalsze dochodzenie w toku.

Niezależnie od dochodzeń kolejowych, jakie prowadzone są w Baranowiczach, w Wołkowysku, gdy pociąg ten miał postój przesłuchano obu anglików którzy jednak nic konkretnego, poza stwierdzeniem samego faktu, powiedzieć nie mogli.

WILLIAM SLING.

Tajemnica d-ra Willmota.

(SPOWIEDŹ KRYMINALNEGO PRZESTĘPCY).

25

— W tej chwili wręczę panu odpowiedź dla Godarda — rzekła miss Harrison, podchodząc do biurka.

Wzięła pióro do ręki, lecz po krótkiej chwili wahania odłożyła je z powrotem.

— Nie, nic nie napiszę — dodała po namyśle. — Pan będzie łaskaw dać odpowiedź ustnie.

Może pani być zupełnie spokojna, powtórzę mu wszystko dosłownie...

Miss Harrison uśmiechnęła się przyjaźnie.

— Dobrze... — rzekła wesoło. — Proszę powiedzieć panu Godardowi, że jestem już zupełnie zdrowa i czekam z niecierpliwością na niego dziś wieczorem... Niech odłoży wszystkie swe sprawy i przyjdzie dziś koniecznie... Czy postara się pan wpłynąć na niego tak, ażeby prośba moja została spełniona?

— Bezwzględnie, łaskawa pani... Może pani na mnie polegać... Godard będzie u pani dzisiaj napewno jeszcze przed zachodem słońca...

Pożegnała mnie przychylnem kiwnięciem głowy. Wyszedłem od niej ogromnie zadowolony.

Przedewszystkiem pozbawiłem ją wielkiego ciężaru, który przygniatał jej serce, po drugie zaś — niosłem dla mego pana radosną nowinę.

Następnego dnia już się uwydatniły konsekwencje spotkania.

Oboje znowu byli szczęśliwi i zadowoleni i zapanowały między nimi dawne stosunki.

Nie wiem, czy miss Harrison rozmawiała z Godardem kiedykolwiek na temat jego choroby. W każdym razie było rzeczą pewną, że narazie zapomniała zupełnie o strasznej tajemnicy d-ra Willmota.

A może postanowiła zostać do końca życia przy swym ukochanym i pocieszać go w gorzkich chwilach cierpienia.

Takie poświęcenie z jej strony było zupełnie możliwe.

A życie biegło swoim trybem.

Już sześć miesięcy służyłem u Godarda, nie tęskniąc wcale do dawnego zawodu. Może stało się to dlatego, że nowa rola bardzo mi się podobała, a może powód był inny: utyłem ostatnio i wskutek tego nastąpiło rozleniwienie.

Obawiałem się, że to może źle wpłynie na moją późniejszą pracę, ale ostatecznie nie zależało mi na tem, by wrócić do dawnego zawodu.

Otrzymywałem przecież wcale niezłą pensję i w każdej chwili mógłbym otrzymać inną posadę dzięki protekcji Godarda.

Przecież przestępca nie koniecznie musi być człowiekiem do gruntu zepsutym, dla którego wszystkie drogi do uczciwej pracy są na zawsze zamknięte.

Pa[illegible] n okres, gdy należałem do sfery ludzi t. zw. „uczciwych" i cieszyłem się wśród bliźnich głębokim szacunkiem i poważaniem.

Warunki, a może słaba wola i brak należytego wykształcenia, zmusiły mnie do staczania się coraz niżej, aż wreszcie stałem się tem, czem jestem.

A gdy już raz wszedłem na złą drogę, trudno już było wydostać się z tego bagna, w którem ugrzązłem, zdawałoby się, już na za[illegible]sze.

Pokusa już minęła i — dziwna rzecz — nie mogłem spokojnie patrzeć na to, gdy ktokolwiek starał się wstąpić w moje ślady.

Dlatego też nie mogłem patrzeć obojętnie na to, gdy Godard prowadził podwójny tryb życia, w nocy zajmując się kradzieżami, a w dzień starając się o rękę uczciwej panny z najlepszej rodziny.

Znalazłem się wobec zagadki, której nie mogłem rozwiązać.

Ten człowiek o dwóch twarzach zaabsorbował całkowicie mą ciekawość.

Kilka razy miałem zamiar wszcząć z nim na ten temat rozmowę, lecz w tej samej chwili przypomniałem sobie nasz układ, zawarty owej fatalnej nocy podczas pierwszego spotkania.

Z jednej strony żal mi było tego człowieka, dotkniętego nieuleczalną chorobą, cierpiącego wskutek dziedziczności ale z drugiej strony nienawidziłem go za jego nocny tryb życia.

Człowiek na takim stanowisku jak on, z takim wykształceniem i tak wielkim majątkiem nie powinien kraść.

Rozumiem, jeżeli przestępcą zostaje człowiek, konający z głodu, dla niego można znaleźć wytłumaczenie, Ale Godard nie godzien był litości.

Albo jest on z gruntu zepsutym człowiekiem, albo w czasach młodości był pod złym wpływem kolegów.

Przecież poza tem Godard uchodził za człowieka mądrego, pełnego energji, panującego nad sobą — skąd więc do niego tego rodzaju karygodne postępowanie?

Od czasu naszego pierwszego spotkania nie wspomnieliśmy ani słowa o tem niezwykłem zdarzeniu.

Godard milczał zawzięcie, wobec czego w myśl umowy mnie również nie wolno było o tem wspominać.

Teraz dałbym wiele za to, by móc zerwać tę umowę i pomówić z nim otwarcie.

Gdybym go spotkał w takich samych warunkach, jak wtedy, skorzystałbym z tej sytuacji, by z nim pomówić.

(d. c. n.)

Podbój ziemi i powietrza.

Samochód, telegraf bez drutu i aeroplan *staną się wkrótce* artykułami pierwszej potrzeby.

Paryż, w kwietniu.

Przed wojną samochodów używała ardzo ograniczona ilość osób. Dzisiaj w Ameryce każdy robotnik, każda daktylografka niemal posiada swojego „Forda". W ślad za Ameryką, Europa zwłaszcza Zachodnia posługuje się dzisiaj **setkami tysięcy automobili.** We Francji ma swój samochód rzeźnik, bogaci owocarze i handlarze, nie mówiąc naturalnie o luksusowych „limousines“ nowych bogaczy.

Tylko wielcy uczeni tego sposobu komunikacji nie znają.

Dość powiedzieć, że sławny Branly któremu zawdzięczamy praktyczne zastosowanie telegrafu bez drutu, mieszkający na jednem z przedmieść Paryża, bierze codziennie bilet do „Metra“ przed 9-tą godz. rano, żeby zań taniej zapłacić! A tymczasem szereg dozorców domowych stać na nainstalowanie u siebie aparatu jego wynalazku...

Od dwuch lat, aparaty telegrafu bez drutu rozmnożyły się też po całej Francji. Po południu, czy wieczorem, paląc fajkę, lub drogie cygara, ludzie słuchają koncertów światowych, mów, wygłaszanych w Genewie lub w Rzymie i to z takim spokojem jakby mieli do czynienia z najprostszą dziecinną zabawką.

Ludzkość dzisiejszą żyje pod znakiem **elektryczności.** Coraz większe nagromadzenie się jej w powietrzu musi jednak nerwowo wpływać na człowieka. Na zasadzie ostatnich obserwacji, okazuje się, że w ogrodach, na grzędach po nad któremi znajdowały się anteny, jarzyny rosły i rozwijały się znacznie szybciej, aniżeli na grzędzie sąsiedniej. Podobny fakt zaobserwowano również w kurniku, bowiem, kiedy zainstalowano antenę kury zaczęły znosić coraz większą ilość jaj.

Człowiek nie jest mniej np. od roślin wrażliwy na prądy enektryczne. Trudno zaś przewidzieć jakiemi torami pójdzie ludzkość, z chwilą, gdy każdy z nas będzie miał w kieszeni mały aparacik telegrafu bez drutu. Jak wiadomo zainstalowano je już w pociągach, na niektórych linjach, oraz w prywatnych samochodach.

Otóż podobnie jak się ma swój samochód, tak się będzie miało swój telegraf bez drutu, a dojdziemy i do tego, że będziemy rozporządzali i swoim aeroplanem. Kiedy i jak, to przyszłość pokaże, ale już jesteśmy na tej drodze.

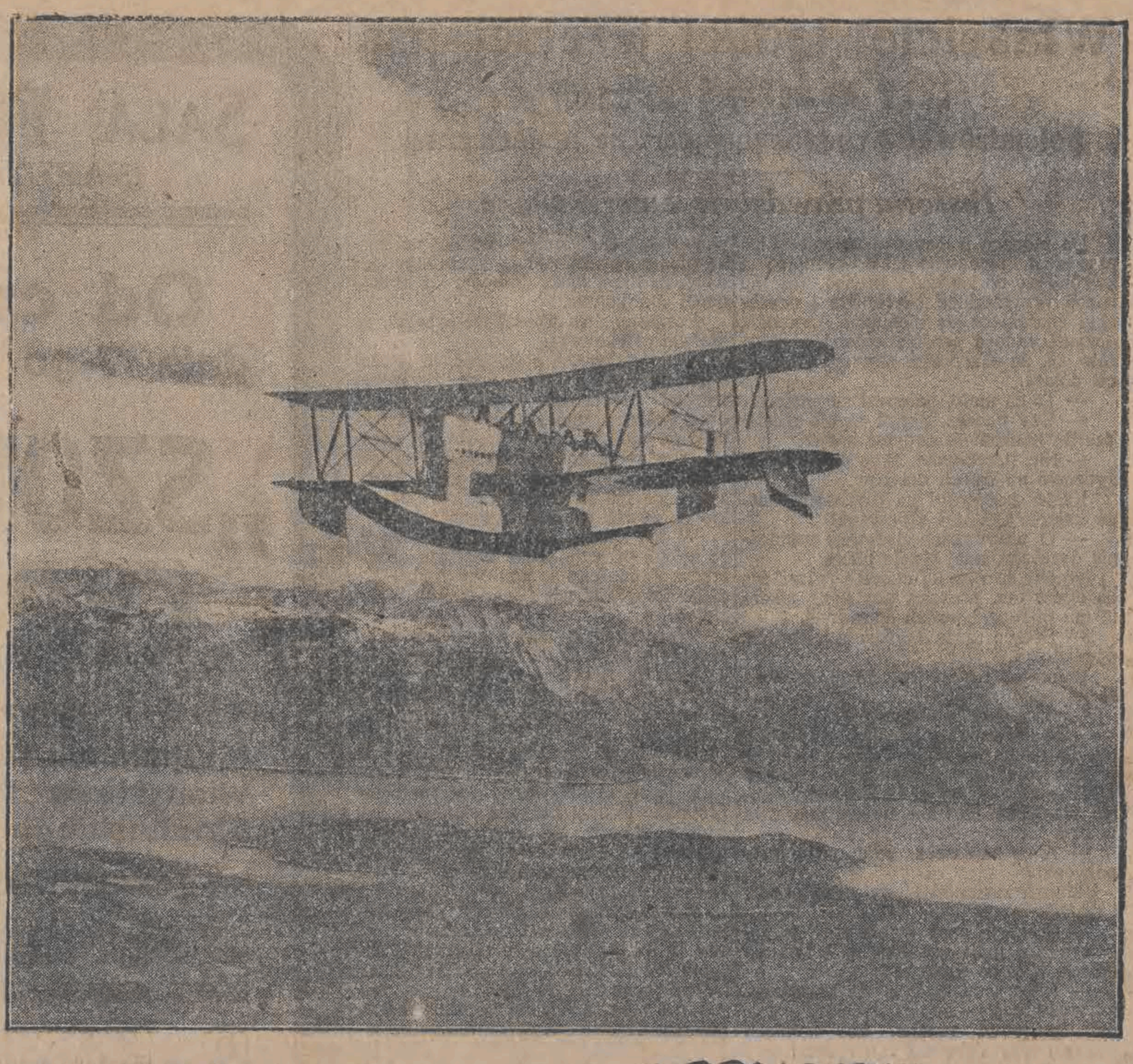
„Aerobusy“ będą przenosiły ludzi z jednej części Paryża na drugą, jak to obecnie robią autobusy, czy też kolej podziemna. Wtedy biedni piesi będą musieli spacerować w prawdziwych kaskach z obawy, żeby im jakiś mosiężny rondel na głowę nie zleciał, bo oczywiście w aerobusach zainstalowane zostaną restauracje itp. Można się spodziewać, że w tej epoce nastąpi przynajmniej choć częściowy zanik ptactwa, wystraszonego przez wielkie, martwe potwory. Chyba, że z biegiem czasu, oswoją się i na jego skrzydłach będą odpoczywać. Tymczasem zaś na „dole“ rozpanoszą się różnego rodzaju dwu i czworonożne zwierzęta, przekładające ziemię nad obłoki.

Przemysłowiec krakowski

ofiarą wypadku samochodowego.

Kraków, 2 kwietnia.

W nocy z środy na czwartek znany przemysłowiec krakowski Perlberger padł w Katowicach ofiarą nieostrożnej jazdy samochodowej. Podczas jazdy padał śnieg, szofer spuściwszy szybę nie widział drogi przed sobą i wjechał na wóz ciężarowy. Skutki zderzenia były fatalne. Samochód zabił konia, a dyszel wozu rozdarł p. Perlbergerowi skórę na głowie aż do kości, na przestrzeni kilku cm. Rannego przewieziono do szpitala.



Eskadra aeroplanów wojskowych amerykańskich odbywa obecnie wielką podróż inspekcyjną nad nieznanemi i niezamieszkałemi okolicami Alaski.

„Kolumb był kłamcą i warjatem“

Gwałtowna napaść na odkrywcę Nowego Swiata.

„Nie odkrył Ameryki i--wogóle był nędznikiem“

Krzysztof Kolumb omal nie został kanonizowany, a tymczasem, według swego ostatniego historjografu postać ta schodzi poprostu na psy. Tak wynika ze świeżo ogłoszonej książki Marjusza Andre p. t. **La Verdique Aventure de Christophe Columb.**

Z książki tej widać nietylko, że Krzysztof Kolumb nie odkrył Ameryki, to jeszcze nic, gdyż ten, kto ją odkrył naprawdę, możeby się dzisiaj nie miał tak bardzo czem chwalić, ale że, co więcej, **był tylko kłamcą, samochwałem, ignorantem niemal zupełnym w sztuce nawigacji, nędznem indywiduum,** które zajmowało się handlem niewolników, i które wszystkim dokoła siebie dokuczało.

Marjusz Andre przyznaje mu jednak, że odkrył Antyle, ale i te właściwie odkrył nanowo, gdyż ktoś inny dotarł tam już przed nim.

Słowem, Marjusz Andre przyznaje mu tylko jedną zaletę, że był poetą, ale i do tego życzliwego ustępstwa dodaje poprawkę, **że był warjatem, co zresztą twierdził już Lombrosso.**

Nie należy mniemać, że Marjusz Andre, jako że pochodzi z południa, robi tu jakieś kawały. Poeta prowansalski pierwszej klasy, na tym samym poziomei, co Joseph d'Arbaud i Folco de Baroncelli, hiszpanizujący, katalonizujący, historyk, krytyk, należy do najpoważniejszych umysłów.

Jego książki: „Koniec imperjum hiszpańskiego w Ameryce“, „Boliver i demokracja“, „Rozmowy z jenerałem, o Ameryce“, jego przekłady kilku dzieł hiszpańskich wykazują obok potężnej siły roboczej i erudycji, niezawodną metodę i zamiłowanie do ścisłej demokracji.

Ale przy tych wszystkich zaletach, Marjusz Andre posiada wadę, którą zaznaczam, gdy należy spłacać dług prawdy, przyjaciołom: **oto ma charakter pieniacki i lubi szukać dziury na całem.**

Należy do tych, którym drzewa przeszkadzają widzieć las... Marjusz Andre nie zaniedbał niczego, coby mu służyć mogło do zniszczenia legendy Krzysztofa Kolumba.

Nie on pierwszy do tego się zabrał. Pewien amerykanin, człowiek bardzo dzielny, Henry Vignand, długoletni członek ambasady Stanów Zjednoczonych w Paryżu, przez całe życie studjował historję Kolumba. **Pozostawił trzy ogromne tomy prac krytycznych,** gdzie poddaje wszystko, co napisano na ten temat, i przychodzi do wniosku, że legenda, skonstruowana główmie przez syna Kolumba, była fałszywa.

Don Carlos Pereyra, dawny minister pełnomocny Meksyku, przebywający na wygnaniu w Hiszpanji, umysł bardzo szlachetny, wydał właśnie historję Ameryki łacińskiej w 8 tomach, gdzie rówineż odmawia Kolumbowi chwały odkrycia Ameryki i dobrodziejstwa zasług i cnót, przypisywanych mu powszechnie.

Marjusz Andre wyzyskał prace obu tych historyków, **nadto sam się skierował do źródeł,** przetrząsnął archiwa, przestudjował zwłaszcza sam dziennik Krzystofa Kolumba. Nic nie uszło jego uwagi z tego, co może obciążać jego bohatera: **tropi go, ściga zawzięcie, z istną pasią ikonoklasty.** Jego „prawdziwa“ książka jest niemiłosiernem oskarżeniem.

Biedni starzy czytelnicy Roselly de Lorgues, którego życie heroiczne i budujące Krzysztofa Kolumba miało takie powodzenie, jakże to oni odcierpią! A tych 980 kardynałów, arcybiskupów i biskupów z całego świata, którzy podpisali pisma, entuzjastycznie wzywające **do beatyfikacji odkrywcy-męczennika.**

A papież Pius IX, który w r. 1869 rozpoczął już tę sprawę! A miljony katolików, którzy w r. 1877 szturmowali do Fzymu petycjami o przyśpieszenie beatyfikacji!

Co więcej jeszcze **w roku zeszłym,** potężny amerykański związek „rycerzy Kolumba“ nalegał, ażeby ich patron zajął miejsce w szeregu świętych kościoła. Tym razem jednak kongregacja obrzędów powiedziała:

A więc leganda zniszczona? To inna sprawa. Możliwe, że, wbrew historykom, wbrew Marjuszowi Andre'mu, którego książkę czyta się z niesłychanem pasjonującem zajęciem, przeznaczeniem jest legendy zatrjumfować nad historją prawdziwą. Uczeni potrafią udowodnić, co im się podoba. Gdyby się ich słuchało, **w nic by się w końcu nie wierzyło.**



Regaty wioślarkie Cambridge--Oxford.

Anglicy uważają je za najważniejsze zawody sportowe świata.

Zawody wioślarskie między studentami w Oxford i Cambridge są bodaj, że jedynemi zawodami sportowemi, o których wie ogół społeczeństwa i to nie tylko w Anglji, lecz także i w Polsce.

Zawody te odbywają się **od 78 lat** i zainteresowanie wcale nie słabnie lecz wprost przeciwnie **wzrasta z roku na rok.** Dzień zawodów jest prawie, że świętem narodowem anglików, którzy wtedy dzielą się na dwa obozy, nic nie mające wspólnego z polityką, na obozy **jasnoniebieskich** (Cambridge) i **ciemnoniebieskich** (Oxford). Tłumy publiczności gromadzą się na obu brzegach Tamizy na całej przestrzeni biegu ośmiowiosłówek to znaczy **na przestrzeni 6840 metrów** Łatwo przewidzieć, że tłumy te dochodzą do liczby **kilkuset tysięcy.** Przebieg zawodów śledzony jest z zapartym oddechem, sumy zakładów dochodzą do setek i tysięcy funtów, naturalnie nie między zawodnikami, którzy są **ideałem amatorów,** gdyż jako synowie bogatych rodziców nie martwią się o takie drobiazgi, jak chleb codzienny i zarobki z zakładów.

Każdy zatem w Anglji wie, co znaczą te dwa słowa: Cambridge Oxford, dużo osób, nawet laików sportowych, interesuje się wynikiem zawodów, dzienniki i ilustracje podają fotografję zwycięzców i zdjęcia z biegów, mało kto jednak wie, że te najwcześniejsze zawody wioślarskie w naszym klimacie, poprzedzone są ciężkim **trenningiem,** o jakim się nie śniło bodaj, że naszym mistrzom wioślarskim

Wyścigi Oxford—Cambridge wymagają kolosalnego treningu i wytrzymałości, gdyż dokonywają się w specjalnych warunkach. Po pierwsze trasa biegu wynosi; jak już powiedziano 6840 metrów, a więc blisko siedem kilometrów, po drugie bieg odbywa się wtedy, gdy przeciętne, europejskie osady jeszcze wcale nie wiosłują poza basenami zimowemi, po trzecie obydwie osady należą do najlepszych osad nietylko angielskich lecz, światowych i nigdy nie wiadomo, która osada jest lepszą, a t. zw. „tipowana" osada zwykle przegrywa. **Bieg zatem między dwoma tak równemi osadami wymaga kolosalnego napięcia nerwowego i wysiłku woli, któremu nie każdy może podołać.**

W roku ubiegłym naprzykład jeden z wioślarzy w osadzie Oxfordu tak osłabł, że musiano zwolnić tempa i w rezultacie przegrano o pięć długości łodzi, t. zn. około 100 metrów.

Do osad złożonych z najlepszych wioślarzy uniwersytetu należą przeważnie sami rodowici anglicy, rzadziej przybysze z innych krajów anglo-saskich, a do rzadkich wyjątków zaliczyć trzeba cudzoziemców **Z polaków desygnowany był raz w Oxfordzie do biegu p. Wańkowicz,** b. prezes klubu wioślarskiego w Gdańsku znany pracownik na niwie wioślarstwa.

Do biegu jednak nie stanął, ponieważ znaleziono równorzędnego wioślarza, który miał tę jedyną przewagę nad Wańkowiczem, że był Anglikiem.

Wioślarze wziąść udział w biegu mający, są podzieleni na dwie osady, które **trenują już od października.**

Trening zatem osady reprezentacyjnej trwa pół roku. Łatwo więc zrozumieć, że w tym wypadku ma się do czynienia z najlepszemi osadami wioślarskiemi, jakie tylko sobie można wyobrazić. Troska o chleb, jako ludzi bogatych ich nie dotyczy, trenują zaś pod okiem doskonałego trenera, który ma szereg pomocników, masażystów itp. Musi się tedy cisnąć na usta pytanie, dlaczego Anglicy tych pierwszorzędnych osad nie utrzymują do mistrzostw olimpijskich, aby zapewne bez specjalnego trudu wygrały bieg dla barw angielskich. Tymczasem w grę wchodzi **tradycjonalizm i snobizm angielski, który uważa imprezę sportową angielską.**

ZA WAŻNIEJSZĄ OD OLIMPJADY I CAŁEGO ŚWIATA.

Osada która jest „gotowa" na koniec marca, nie utrzyma się do lipca. Trzebaby więc zrezygnować z dorocznego biegu, aby stanąć do Olimpjady, a na to nie zgodzi się żaden student Cambridge czy Oxford.

Wracając do samych zawodów, odbędą się one w roku bieżącym po raz 79. Dotychczas Oxford wygrał 41 razy. Cambridge 36 sześć razy po wojnie. **Jeden rok w r. 1877 był „martwy" to znaczy, że obydwie łodzie przybyły równo do mety.**

Z końcem ubiegłego i początkiem bieżącego roku przygotowania do biegu trwały w pełnym toku.

Oferta menagera amerykańskiego

winna być bezwzględnie odrzucona.

Polskich piłkarzy nie można traktować jako płatnych graczy.

Opinja publiczna jest od pewnego czasu silnie zaniepokojone kwestją utrzymania amatorskiego charakteru sportu footbalowego.

Jest rzeczą dowiedzioną, że sport tylko wówczas odegrać może rolę czynnika wychowawczego w narodzie, jeśli będzie oparty na zasadach nawskroś amatorskich i gdy najszersze warstwy społeczeństwa będą go mogły uprawiać.

W przeciwnym razie sport zamieni się na widowisko dla szerszych mas, którym da się możność podziwiania występów płatnych jednostek, traktujących sport zawodowo i poświęcających czas dla doskonalenia się w pewnej gałęzi sportu.

W ten sposób pojęte uprawianie sportu nie posiada żadnego znaczenia z punktu widzenia społecznego i winno być traktowane jako

zwykłe widowisko zarobkowe

jednostek lub mas zbiorowych.

Sport zawodowy winien być z całą bezwzględnością tępiony, w pierwszym rzędzie przez rząd, bowiem uniemożliwi on, a w każdym razie utrudni w znacznym stopniu wprowadzenie w życie uchwalonej ustawy o przymusowem wychowaniu fizycznem młodzieży, której wyczyny, rzecz zrozumiała nie w sposób będzie porównać z postępami zawodowców.

Młodzież, której wyczyny i rekordy będą nikłe wobec rekordów zawodowców, straci wiarę we własne siły i albo przejdzie na łono zawodowców, albo porzuci dalszą pracę na niwie sportowej.

Całe jednakowoż szczęście, że zawodostwo grozi nie wszystkiem jeszcze gałęziom sportu.

Najbardziej jednakowoż obarczona zarzutami jest piłka nożna.

Stan, który obecnie panuje w szeregach piłkarzy jest coprawda szkodliwy dla sportu i demoralizuje jeno footbalistów, ale przyznać trzeba, że rozpowszechnił się on w mniejszym czy większym stopniu niemal we wszystkich krajach i jest, wprost rzeczą niemożliwą zmienić w obecnych warunkach zakorzeniony zwyczaj „kaperowania", czy odstępowania graczy.

Załatwienie tej palącej sprawy jest kwestją przyszłości.

Nas interesuje w tej chwili inna rzecz. Przed niedawnym czasem głośna była sprawa wysłania polskiej ekspedycji „piłkarskiej" do Ameryki.

Jak wiadomo pewien menager amerykański zwrócił się do P. Z. P. N-u z propozycją wysłania polskiej drużyny piłkarskiej do Stanów Zjednoczonych.

Warunki przedstawił takie, **że gotów jest ponieść koszta podróży ekspedycji** i każdemu **graczowi płacić**

tygodniowo 50 dolarów gaży.

Potraktował więc naszych **piłkarzy jako** graczy zawodowych. **Mniejsza jednakże o owego menagera.**

P. Z. P. N-ej **początkowo odmówił** wysłania **drużyny, po niejakimś czasie** jednak **nowoutworzona „Liga" podjęła** się **przeprowadzenia ekspedycji polskiej do Ameryki.**

Ostrzegamy przeto **organizatorów „Ligi", że jest to wymierzenie broni przeciw samym sobie, bowiem opinja sportowa, a zwłaszcza przeciwnicy „Ligi", dostaną do rąk świetny argument potępiający ligowców.**

Ofertę menagera amerykańskiego powinni „ligowcy" bezwzględnie odrzucić i nie łudzić się nadzieją, że menager amerykański ma na myśli względy propagandowe.



W sferach sportowych przygotowują się już do najbliższej olimpjady — inn również i fechmistrze nie tracą czasu. W Turynie odbyły się właśnie międzynarodowe ćwiczenia, w których brali udział: 1) mistrz włoski Augusto Turati; 2) francuz George Trombert; 3) Rene Haussa — belgijczyk; 4) Candidas Sossone — hiszpan

Za wydawnictwo „Republika” Sp. z ogr. odp. Władysław Polak. W drukarni „Republiki” Łódź, Piotrkowska 49 i 15. Redaktor odpow. Józef Burman.